

Dziwna radość grania

Przedwojenna publiczność wiedziała, kiedy w teatrze należy klaskać – mówi Zofia Rysiówna

Aktorka dramatyczna. Słynna z urody i doskonałej interpretacji tekstów. Stworzyła wielkie role w repertuarze klasycznym. Była Balladyną, Judytą, Agrypiną, Ofelią. Miała piękną okupacyjną kartę. Jako żołnierz AK brała udział w uwolnieniu Jana Karskiego z gestapo. Aktorka dziś obchodzi jubileusz 80. urodziny. W Teatrze na Woli wystąpi w sztuce Mario Vargas Llosy „Panienka z Tacny”.

● Miała Pani być prawnikiem, a została aktorką?

Tak zdecydował los. Życie składa się ze zbiegów okoliczności. Nic nigdy nie jest proste ani oczywiste. Pragniemy pewnych rzeczy, a życie ofiarowuje nam inne. Aktorstwo stało się wypadkową tego, co zaproponowało mi życie i jego dramaty.

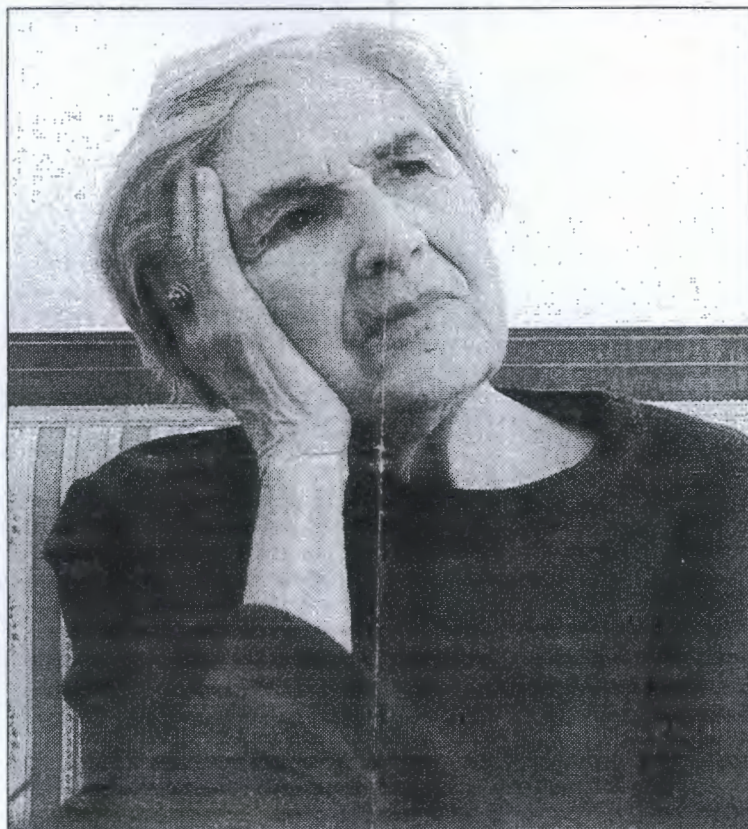
Czy życiowe doświadczenia w jakis sposób określiły Pani wrażliwość aktorską?

No cóż, w pewien sposób grunt był podatny. Już jako dziecko byłam chyba bardzo wrażliwa. Mając pięć lat mówiłam niesłychanie trudne wiersze. Teraz już nikt nie uczy się wierszy na pamięć. A jeśli chodzi o dorosłe życie... Znałam cudownego mężczyznę, który miał zostać moim mężem. Wybuchła wojna. Jako oficer trafił do oflagu. Potem był we Włoszech, w końcu zamieszkał w Londynie. Nie wrócił już do Polski. A ja zaprzyjaźniłam się z kimś innym. I nawet nie przyszło mi to głowy, że mogłabym się przedzierać przez granicę. Jakos zawsze wszystko było nie tak... Przejęcia, cierpienia kształtują przecież człowieka. A mnie wyposażały również jako aktorkę.

Jak Pani wspomina dobry, przedwojenny teatr?

Pamiętam lata 1938–1939. Do teatru przychodziła inteligencja. Ludzie znali wtedy literaturę polską. Bywali we wspnianych kabaretach, umieli się zachować, znali się na dobrym dowcipie. Wiedzieli, kiedy się należy śmiać, kiedy bić brawo. Inaczej zostaliby uznani za osoby niedokształcone i nieobite towarzysko.

Ale i po wojnie nie było z widownią najgorzej. Pamiętam mój pierwszy rok pracy na scenie w Krakowie. Grałam panienkę swobodnych obyczajów. Wyglą-



Zofia Rysiówna – królowa repertuaru klasycznego

szalam brawurowy monolog o tym, że nie licząc się z mieszczańskimi przesadami, wezmę sobie chłopca i będę z nim żyć. Reżyser powiedział mi, że po monologu powinny być brawa. Bardzo się martwiłam – skąd publiczność będzie wiedziała, kiedy klaskać? Potworna sytuacja. Nie ode mnie przecież zależało, co się stanie na widowni. Byłam szalenie zdenerwowana tą premierą. Nieopisana była moja radość, gdy po monologu, schodząc ze sceny, usłyszałam salę grzmiącą od braw.

Jak ocenia Pani dzisiejszą publiczność?

Ostatnio częściej bywam w teatrze jako widz. Publiczność przeważnie wydaje mi się jakaś nieruchoma, jakby onieśmielona, czy nieświadoma reguł zachowania w teatrze. Patrzę na moich kolegów na scenie i zastanawiam się, jak oni to odbie-

rają? Od czasu do czasu pierwsza nerwowo zaczynam bić brawo. Uważam, że dyrekcja teatru powinna organizować klaskę – fachową, poinstruowaną. To żart, oczywiście – ale może naprawdę taka klaska przydałaby się niekiedy. Niegdyś teatr należał do wielkich atrakcji. Kiedy pojawiała się gwiazda, publiczność była jak zaczarowana. Wystarczy przypomnieć Janusza Osterwę. To było zjawisko!

Ludzie ulegają dziwnym, popularyzowanym przez prasę i telewizję modom. Wiele w tym powierzchowności, tandety. Niestety, utraciliśmy delikatność, wrażliwość, bywa, że brak nam dobrego smaku.

Będąc gwiazdą scen teatralnych, nieczęsto pojawiała się Pani w filmie...

Nie mam widocznie warunków filmowych, skoro mnie zbyt często nie ob-

sadzano. Debiutowałam w filmie „Mam tu swój dom” w 1963 r. Potem zagrałam surową zakonnicę z przytułku dla dzieci w „Drewnianym różańcu” z 1964 r. w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich. Moją rolę oceniono bardzo dobrze, ale film przepadł z kretesem.

Tak naprawdę – nienawidzę filmu. Koszmarne, wielogodzinne czekanie na planie. Podczas kręcenia filmu dzisiaj się stawia pytanie, za miesiąc udzieli odpowiedzi. I jak tu budować rolę? To zwariowana składanka, ktoś to montuje, a aktor ogląda już tylko gotowy efekt. W teatrze jest inaczej. Gong. I zaczyna się przedstawienie. Odpowiadam za swoją rolę. Opo-wiadam o tym, co mnie porusza, co wydaje mi się ciekawe, słuszne, ludzkie.

W teatrze wszystko jest na żywo, wszystko się zdarzyć może. Słynna jest anegdota o znakomitym aktorze Władysławie Grabowskim, który wyszedłszy na scenę, jak to się dziś mówi, „w stanie wskazującym...”, gestem uciszył partnerów i oświadczył: „Tieper ja”. Było to zabawne, ale też w sposób symboliczny podkreślało, że teraz on, aktor, ma publiczność w swoich rękach.

Publiczność zapamiętała Panią z repertuaru klasycznego, z roli o wielkiej sile dramatycznego wyrazu. A co z komedią?

Zawsze chętnie grałam w komediach. Lubiłam je. Byłam Podstoliną w „Fircyku w zalotach”, Celiną w „Mizantropie”. Grałam Błazna w Szekspirowskim „Wieszczorze Trzech Króli”. Kiedy teatr oferował mi taką rolę, zawsze grałam ją z radością. Dziwną radością, ale przecież bardzo zdrowo jest się śmiać.

Czy z którąś ze scen wiąże Panią szczególny sentyment?

Z każdego teatru odchodziłam z żalem. Z młodości dobrze wspominam Kraków i Poznań. Tam życie bieгло bardziej swojsko, przyjaźnie. Kontakty koleżeńskie były serdeczniejsze, więzy mocniejsze. Było bliżej.

ROZMAWIAŁA MONIKA GOŁĄB

● Mario Vargas Llosa – „Panienka z Tacny” reż. Bogdan Augustyniak, Teatr na Woli, godz. 19. Na spektakl są jeszcze wejściówki.